



Refleksja nad słowami profesor Barbary Engelking oraz ministra Przemysława Czarnka

Wypowiedzi Pani Profesor Barbary Engelking słuchałem w telewizji i nie mam do niej żadnych merytorycznych zastrzeżeń. Pani Profesor powiedziała, że w czasie okupacji Żydzi bardziej niż Niemców bali się często swoich sąsiadów Polaków. Wydaje mi się to zupełnie zrozumiałe z psychologicznego i faktycznego powodu, dlatego że z jednej strony funkcjonariusz służb niemieckich był osobą widoczną (oczywiście bywali funkcjonariusze chodzący po cywilnemu, ale przy określonych akcjach policyjnych). Tymczasem na ulicy domu, w którym ukrywała się osoba o pochodzeniu żydowskim, na pewno zagrożenie było zupełnie realne. Bo tam mógł być dozorca, formalnie zobowiązany do informowania o Żydach w jego kamienicy, bo byli ludzie niechętni Żydom, antysemitami, bo byli też oczywiście szmalcownicy czystej wody. Zatem tego rodzaju obawy nie są dla mnie niczym zaskakującym. Przecież w okresie okupacji Armia Krajowa w głównej poczcie w Warszawie zorganizowała specjalną komórkę, która wyłapywała donosy do gestapo, napisane przez Polaków na Polaków, i to były nieraz sprawy błahe: dwie panie pokłóciły się o klucz od strychu albo o jakiegoś pana i jedna zawiadomiła, że druga słucha radia albo ma w domu nielegalne gazetki. Bywały zatem, również między Polakami, daleko idące nieojalności, które mogły doprowadzić do skazania na obóz koncentracyjny albo nawet na śmierć. Toteż trzeba było odpowiednią komórkę zorganizować, żeby te donosy wyłapywać i informować osoby, na które donoszono, o zagrożeniu im niebezpieczeństwie. Myślę więc, że w sytuacji, kiedy część społeczeństwa przejawiała niechęć do Żydów, poczucie zagrożenia u osoby, która ukrywała się po aryjskiej stronie, było zupełnie realne. Nikt z nas nie jest w stanie ocenić, ilu było naprawdę szmalcowników i ilu było tych, którzy ratowali Żydów z narażeniem własnego życia. Różne próby ustalenia dziś tych liczb są bardzo dyskusyjne, każdy może się upierać, że było trochę więcej lub trochę mniej jednych i drugich. Natomiast oczywiście nie jest prawdą, że miliony Polaków ratowały Żydów ani że miliony Polaków były donosicielami w jednoznaczny charakterze.

W czasie okupacji mieszkalem w Warszawie – co prawda, kiedy wybuchło powstanie, miałem jeszcze nieskończone lat 14, niemniej byłem świadkiem różnych sytuacji. Mój ojciec, który był adwokatem, w czasie okupacji nie mógł oczywiście tej funkcji pełnić (mieliśmy w domu mały warsztat tkacki, na którym rodzice wyrabiali jakieś szaliki oraz inne podobne przedmioty i żyli ze sprzedaży takich rzeczy).

Ojciec miał jednak gabinet tuż przy wejściu do mieszkania i tam przyjmował różnych znajomych albo udzielał jakichś porad. Otóż pamiętam, jak pewnego dnia, nie wiem, w którym roku to było, pewnie w 1943, może w czasie powstania w getcie, usłyszałem jego bardzo podniesiony głos, za chwilę wszedł do pokoju i oświadczył, że wyrzucił z domu określoną osobę, ponieważ powiedziała, że

Niemcy rozwiązują w Polsce problem żydowski. Zatem była taka rozmowa. Czy ona miała miejsce w czasie palenia się Żydów w getcie, czy przedtem, tego nie mogę stwierdzić, ale takie postawy były, jak widać, również wśród inteligencji. Na pewno bowiem ani chłop, ani robotnik nie przyszedłby w tym czasie do mojego ojca, tylko raczej człowiek zapewne bardziej charakteryzujący się cechami inteligenta. Oczywiście, że w różnych pracach naukowych mogą przejawiać się pewne mniej czy bardziej skonkretyzowane zainteresowania, na które może mieć pewien wpływ zarówno osobiste zaangażowanie, jak i określona postawa. Na pewno na temat szmalcowników pisze się znacznie więcej niż na temat policjantów w getcie warszawskim, którymi byli najczęściej inteligenci żydowscy.

Bez wątplenia można by było w pewnych sytuacjach powiedzieć coś dobrego lub złego i ktoś tego zaniechał. Podam taki przykład. Pani Engelking współpracuje z pewnym autorem, którego prace czytałem. W jednej z nich zajmuje się szmalcownictwem i opowiada, jak poza Warszawą (zajmował się głównie sprawami warszawskimi), w określonej wsi, szmalcownik z jakimiś funkcjonariuszami niemieckimi maszeruje od chałupy do chałupy, wyciągając schowanego Żyda, który zostaje aresztowany, a może rozstrzelany od razu, tego nie pamiętam.

Można było położyć akcent na tego szmalcownika, a można było też powiedzieć, że we wsi polskiej w każdej niemal chałupie ukrywano Żyda, co oznacza, że tak jak wśród polskich chłopów byli wyraźni antysemitami, tak byli i ci, którzy z przyczyn trudnych teraz do ustalenia – czy miały one charakter merkantylny, czy wynikały z solidarności z prześladowanymi i litości dla nich – udzielali im pomocy.

Tak że nikt nie uniknie całkowitego pozbycia się takich ludzkich postaw, swoich przekonań, również będąc naukowcem. Niemniej wypowiedź pani Engelking, którą słyszałem, nie budziła z mojej strony żadnych zastrzeżeń, wprost przeciwnie – moje obserwacje potwierdzają jej wnioski o zagrożeniu Żydów ze strony Polaków, ponieważ byli wśród nich niewątpliwie antysemitami i również tacy, dla których donoszenie do okupanta było absolutnie dopuszczalne.

Osobnego komentarza wymagają natomiast bulwersujące słowa ministra Czarnka. Wypowiedziane przez niego groźby, że przyznanie instytucjom naukowym środków finansowych będzie uzależnione od wyników ich prac, to jest coś dramatycznie nieuczciwego. Oczywiście minister, który ma nadzór nad instytucjami naukowymi, nie może się takimi naciskami posługiwać. Nauka ma być realizowana w sposób zgodny z podstawowymi normami, co oznacza, że jej wyniki nie mogą podlegać manipulacji ze względu na zainteresowania czy poglądy ministra, który przydziela środki na działalność naukową. Jest to wypowiedź absolutnie oburzająca, niegodna człowieka, który sam powołuje się na swój tytuł profesorski. Taka postawa go dyskredytuje również jako profesora.

ADAM STRZEMBOSZ

* * *

Kontrowersje wokół nauczania medycyny

Wielkim problemem służby zdrowia w Polsce jest brak lekarzy. Okupacja drastycznie zredukowała liczbę medyków, która i przedtem nie była duża. Pomimo znacznej poprawy po wojnie, stale nam ich niestety brakuje. Wystarczy powiedzieć, że dla osiągnięcia średniej OECD potrzebujemy dodatkowo ok. 50 tys. lekarzy!

Na tę dramatyczną sytuację składa się wiele czynników, w tym również wieloletnia polityka naszych władz. Liczba studiujących na kierunku lekarskim zależy wszak od limitów wyznaczanych przez Ministerstwo Zdrowia.

Drugim ważnym problemem jest starzenie się kadry lekarskiej, co od dawna sygnalizował samorząd lekarski. Jest to zresztą problem nie tylko polski. W 2019 r. w krajach OECD, podobnie jak u nas, więcej niż jedna trzecia lekarzy liczyła ponad 55 lat.

Istotna jest też emigracja młodych medyków. Dotąd głównie przez warunki finansowe, ale ostatnio ważna jest też zła organizacja polskiej ochrony zdrowia.

Do 2007 r. w Polsce uprawnienia do kształcenia na kierunku lekarskim miało 10 uniwersytetów medycznych. Wszystkie te uczelnie miały i mają doskonałą kadrę nauczycieli akademickich i odpowiednią infrastrukturę do kształcenia.

Potem uprawnienia do kształcenia na kierunku lekarskim zaczęły uzyskiwać inne uczelnie, w tym również uczelnie humanistyczne i politechniki. W rezultacie w roku akademickim 2019/2020 na kierunek lekarski rekrutować mogło 21 uczelni, zaś na kierunek lekarsko-dentystyczny – 10.

Ten ogromny wzrost w ciągu ostatnich pięciu lat (licząc od 2016 r.) jest oczywiście skutkiem niewystarczającej liczby lekarzy oraz niewątpliwie wysokiego prestiżu zawodu, nie bez znaczenia jest także jego status ekonomiczny, ciągle wyższy niż w innych profesjach, mimo że nieadekwatny do czasu kształcenia oraz roli, jaką lekarze odgrywają w społeczeństwie.

Można by stąd wnioskować, że skoro lekarzy jest za mało, chętnych na studia dużo, to niech kształcą, gdzie się da i kogo się da. Z taką opinią nie mogę się zgodzić.

Studia na kierunku lekarskim na wszystkich uczelniach, które uzyskały uprawnienia, odbywają się według wytycznych określonych odpowiednim rozporządzeniem Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego. To jednak nie wystarczy, aby zapewnić wysoką jakość kształcenia, bo do kształcenia lekarzy potrzebni są nauczyciele akademicy i właściwa infrastruktura. Właściwą jakość w kształceniu osiąga się dopiero wówczas, gdy szpitale, w których są kształceni młodzi adepci medycyny, odpowiadają kryterium *teaching hospitals*, czyli że jest to szpital lub ośrodek medyczny, który zapewnia edukację medyczną i jest powiązany ze szkołą medyczną. W szpitalach tych powinni uczyć nauczyciele akademicy, których zadaniem jest nauka myślenia medycznego. Przypadek każdego chorego jest indywidualny i lekarz musi potrafić dobrać odpowiedni sposób leczenia. Tę umiejętność zyskuje dzięki myśleniu medycznemu.

Po uzyskaniu dyplomu lekarza lub lekarza dentysty obowiązuje **staż podyplomowy**. Długość tego stażu, jak również wiedza i umiejętności zdobywane podczas stażu mogą być przedmiotem oddzielnego artykułu. Nie mogę jednak pominąć kształcenia już po stażu, czyli tzw. specjalizacji. Do 2004 r. lekarz ubiegający się o rozpoczęcie specjalizacji musiał zaliczyć tzw. egzamin kwalifikacyjny. W 2004 r. postępowanie kwalifikacyjne dopuszczające do rozpoczęcia specjalizacji oparto na Lekarskim Egzaminie Państwowym, który w 2013 r. zastąpiono Lekarskim Egzaminem Końcowym. Za pozytywny wynik uznawano zdobycie co najmniej 56%

maksymalnej liczby punktów z testu. Do 2020 r. do egzaminu mogły przystępować tylko osoby po stażu podyplomowym, a sam egzamin był istotnym sprawdzeniem wiedzy absolwentów, oceniającym także jakość kształcenia na poszczególnych uczelniach. Dobry rezultat egzaminu oscylował pomiędzy 140 a 150 punktami. W 2020 r. nie zaliczyło egzaminu 22% osób do niego przystępujących.

Od 2020 r. złagodzone zasady i w efekcie wyniki egzaminu bardzo się spłaszczyły, i bardzo duża grupa osób zdaje egzamin na poziomie 170–180 punktów. Ocena jakości kształcenia przeddyplomowego na podstawie wyników egzaminów stała się fikcją.

Masowość tworzenia kierunków lekarskich na kolejnych uczelniach, w tym także o profilu niemającym dotąd wiele wspólnego z medycyną, stanowi ogromne zagrożenie dla jakości kształcenia, a wypowiedzianie opinii, że lepszy niedokształcony lekarz niż żaden, **jest nie do przyjęcia**. Ciekaw jestem, czy osoba, która publicznie wypowiada takie zdania, chciałaby być leczona przez niedokształconego lekarza. Dlatego popieram myśli wypowiedziane przez prof. Marcina Gruchałę, przewodniczącego KRAUM, rektora Gdańskiego UM: „Prowadzenie studiów lekarskich wymaga odpowiedniej kadry i infrastruktury dydaktycznej, jak również dostępu do bazy klinicznej. To jest naprawdę ogromne wyzwanie”. Prof. Gruchała poinformował też, że KRAUM chce wprowadzenia dodatkowego wystandardyzowanego egzaminu: *Objective Structured Clinical Examination (OSCE)*, który ma sprawdzać praktyczne umiejętności (w tym kompetencje w zakresie komunikacji) studentów kończących kierunek lekarski. Wreszcie Profesor przewiduje, że nowo tworzone kierunki lekarskie „wyszukują” rynek z kadry akademickiej, a wszystkie uczelnie będą miały problemy z zachowaniem wymagań kadrowych, bowiem liczba nauczycieli akademickich w Polsce na kierunku lekarskim nie jest co prawda zamknięta, ale nie jest też nieskończona. Już dzisiaj jest zauważalne „podkupowanie” nauczycieli. Prof. Gruchała pisze wprost: „Niemał codziennie otrzymuję podania od nauczycieli akademickich z prośbą o redukcję wymiaru zatrudnienia w uczelni, czasami nawet do jednego dnia w tygodniu. Ten problem będzie narastał i myślę, że w najbliższych latach pozyskanie nauczycieli kształcących medyków będzie ogromnym wyzwaniem”.

Wróć jeszcze do kształcenia lekarzy z wykorzystaniem właściwej infrastruktury. W Warszawie są cztery uczelnie z kierunkiem lekarskim. Wkrótce dołączy do nich piąta. Każdy student zaczyna naukę od anatomii. Spośród tych pięciu uczelni trzy będą korzystały z wiedzy kadry pedagogicznej i wyposażenia *Collegium Anatomicum* WUM, bo jest to jedyna uczelnia w stolicy posiadająca prosektorium. Mam wątpliwości, czy zakład mający służyć jednej uczelni jest w stanie zapewnić wysoką jakość kształcenia trzem.

Warszawskie uczelnie z kierunkiem lekarskim (poza WUM) prowadzą zajęcia z przedmiotów klinicznych w szpitalach często oddalonych od swojej uczelni o 30–40 km, niezatrudniających nauczycieli akademickich, z infrastrukturą przeznaczoną do leczenia chorych, a nie do dydaktyki.

We wszystkich wspomnianych placówkach pracuje wielu wykwalifikowanych nauczycieli akademickich, byłych pracowników WUM. Moim zdaniem, najracjonalniej byłoby stworzyć filie istniejących uczelni medycznych w **różnych lokalizacjach**. Wówczas uczelnie z doświadczeniem dydaktycznym miałyby nadzór nad edukacją medyczną, a także mogłyby szkolić lekarzy praktyków w dydaktyce.

I na koniec życzę nam wszystkim, by za 20 lat osoba pisząca o nauczaniu medycyny w Warszawie mogła pochwalić się pięcioma wspaniałymi szkołami medycznymi. Bo dziś to tylko nadzieja.

MAREK KRAWCZYK

Warszawski Uniwersytet Medyczny

Ps. Dziękuję bardzo p. mgr Magdalenie Zielonce i prof. Anecie Nitsch-Osuch za pomoc w przygotowaniu tego materiału.

Krymska katastrofa (I)

Po rozbiorach Polski bogate ziemie ukraińskie stworzyły fundament potęgi carskiego imperium, co umożliwiło Rosji powrót do starego marzenia o dotarciu do Konstantynopola. Szybko zdobyto nowe tereny nad Morzem Czarnym oraz Krym. Ta myśl o panowaniu „na Wschodzie” stała się wręcz *idée fixe* cara Mikołaja I, który starał się zdobyć do tego celu poparcie Anglii, proponując jej podział łupów, bo Turcja – „konający człowiek” – upada. Oferta została jednak odrzucona.

W tej sytuacji, pewien siły swojej armii, car podjął działania samodzielne. Najpierw postawił Turcji warunki nie do przyjęcia, a potem, 4 lipca 1853 r. 90-tysięczna armia rosyjska przeszła Prut i ruszyła nad Dunaj, zajmując tureckie lenna: Mołdawię i Wołoszczyznę, aby – jak to określił Mikołaj – „przywieść Turków do rozumu”. Użycie tak wielkich sił oznaczało początek wojny o opanowanie Stambułu, Bosforu i Dardaneli oraz dominację na Bałkanach. W Petersburgu sądzono, że to wojna jedynie z Turcją (mimo że flota angielska była już w Dardanelach).

Oczywiście propaganda rosyjska próbowała uzasadnić ten krok. Manifest carski zapewniał, że Rosja zdobyczy „nie potrzebuje”, spełnia tylko obowiązek obrony wiary prawosławnej, ale „upór i zaślepienie” Turcji zmusza ją do wojny. Okólnik rozesłany do stolic europejskich wytykał rządowi francuskiemu i angielskiemu działanie na szkodę Rosji. Dominowała wiara w zwycięstwo, bo jak podkreślał Mikołaj I, Opatrzność sprzyja Rosji: „Bóg miłuje cara, Bóg miłuje Rosję, Rosja kocha swego umiłowanego cara, car kocha wyniesioną przez niego do chwały Rosję, a prawosławny car i Święta Ruś w równej mierze kochają Boga. W tym potrójnym świętym związku miłości odważnie patrzymy w przyszłość: a ta rysuje się nam jasno, radośnie, pięknie i wspaniale”. Towarzyszyły temu hasła imperialnego patriotyzmu: „Niech łopocą sztandary, niech dźwięczą trąby bojowe”. Czekano na wojnę Świętej Rusi ze zgnitym Zachodem, na wygnanie z Konstantynopola zagnieżdżonych tam Anglii i Francji z ich „tak zwaną cywilizacją”. Cenzura czuwała, aby nikt nie wyraził innego zdania.

* * *

Ku ogólnemu zaskoczeniu działania nad Dunajem nie przyniosły sukcesu armii rosyjskiej. Wojna zaczęła się ze zmiennym szczęściem, a Mikołaj I znalazł się w politycznej pułapce. Anglia i Francja zareagowały ostro: w lutym 1854 r. zażądały od Rosji opuszczenia Księstw Nadunajskich, 12 marca zawarły z Turcją sojusz, a 27–28 marca wypowiedziały Rosji wojnę. Już wcześniej, 4 stycznia 1854 r. floty angielska i francuska wpłynęły na Morze Czarne, a flota rosyjska pospieszenie schroniła się w Sewastopolu, skąd już do końca wojny nie wypłynęła. Tak błędne rachuby i decyzje spowodowały, że przeciw Rosji wystąpiły sprzymierzone z Turcją dwa europejskie mocarstwa, a potem Austria. Oznaczało to, że politycznie Mikołaj I wojnę przegrał.

Chcąc pokonać Turków, zanim przybędą sprzymierzeni, w marcu 1854 r. Rosjanie sforsowali Dunaj i oblegli Silistrę, myśląc o otwarciu drogi do Stambułu. Twierdza nie uległa, a tymczasem nastąpił nieoczekiwany cios: Austria zażądała ewakuacji wojsk rosyjskich z Mołdawii i Wołoszczyzny. Mikołaj I liczył, iż Franciszek Józef w rewanżu za pomoc udzieloną mu w 1849 r. stanie po stronie Rosji. Tymczasem Austria nie zamierzała ułatwiać Rosji zdobycia dominującej pozycji na Bałkanach. Skoncentrowano w Siedmiogrodzie „korpus obserwacyjny” i w rezultacie car musiał w czerwcu 1854 r. zwinąć oblężenie Silistry. Od tej pory Mikołaj I i jego poplecznicy czekali chwili, kiedy będzie można przykładowo ukarać „austriackiego chłystka” za „nikczemność”.

* * *

Armia, która w marzeniach Mikołaja I miała „nauczyć Turków rozumu”, wycofywała się po fatalnie rozegranej rocznej kampanii w obawie przed osaczeniem przez wrogów dopiero zbierających siły.

Wbrew propagandzie okazało się, że Rosja nie jest przygotowana do wojny. Dysproporcja sił była katastrofalna: Rosja miała przeciw sobie największe potęgę polityczną i gospodarczą Europy, dysponując nowoczesnym przemysłem, wielkimi możliwościami technologicznymi i finansowymi, rozwiniętym transportem kolejowym i morskim, co przekładało się bezpośrednio na uzbrojenie, wyposażenie i zaopatrzenie wojsk wysyłanych na Wschód.

Tymczasem rosyjska gospodarka ledwie nadążała z zapewnieniem armii broni i zaopatrzenia (z braku kolei dowożono je chłopskimi wozami). Wojsko miało głównie gładkolufową broń strzelecką, kiedy armie zachodnie dysponowały skuteczniejszą bronią gwintowaną. Żołnierz był źle wyposażony i fatalnie żywiony, bo malwersacje intendentury urosły na skalę niebywałą nawet jak na rosyjskie stosunki. Fatalny stan służb sanitarnych powodował ogromną śmiertelność rannych oraz chorych żołnierzy. Równie fatalna była łączność: dowództwo Armii Krymskiej komunikowało się z Mikołajem I przez kurierów, którzy gnając dzień i noc, co koń wyskoczy, przebywali dystans z Sewastopola do Petersburga w ciągu tygodnia. Natomiast sojusznicy od 1854 r. dysponowali telegraficznym kablem podmorskim z Krymu do Warny, co zapewniało szybką łączność z Paryżem i Londynem. Słowem, przewaga gospodarcza i technologiczna, a w konsekwencji militarna, była zdecydowana, a we flocie nawet rozstrzygająca.

W Rosji wierzono w militarną potęgę imperium. Poprzednie rosyjskie sukcesy militarne, a zwłaszcza zdławienie buntu Węgrów, zaślepiły Mikołaja I, generalicję i korpus oficerski, co utrwały parady zwycięstwa, grad odznaczeń i medali oraz panegiryki „wyrobników pióra”, sławiące siłę Rosji przeciwstawianą „gnijącemu Zachodowi”.

* * *

Kolosalną przewagę koalicji udowodniła ostatecznie kampania krymska.

We wrześniu 1854 r. kilkudziesięcioletni desant wojsk sprzymierzonych, przerzuconych drogą morską z Warny, bez przeszkód wylądował na północ od Sewastopola i 9 października stanął pod fortami twierdzy, blokując port wojenny. Długotrwałe oblężenie okupione było olbrzymimi stratami rosyjskimi i wojsk sprzymierzonych.

Obrona Sewastopola wywołała „walkę medialną” na nieznana przednio skalę: dowództwa ogłaszały „raporty”, dziennikarze i pisarze przesyłali z Krymu reportaże i opowieści o przebiegu walk, przeważnie utrzymujące optymizm opinii publicznej, a realia wojny poznawano z fotografii prasowych. Po wojnie wszyscy czcili walki, jak wypadają: Rosji przybyło bohaterów narodowych, pomników i dzieł literackich, w Paryżu mamy bulwar Sewastopolski, most Alma i stację metra Crimée. Po latach oblężenie uznano za zapowiedź horroru walk pozycyjnych Wielkiej Wojny.

* * *

Kolejna klęska wojsk rosyjskich, zadana – o zgrozo – przez Turków, przysłała 17 lutego 1855 r. pod Eupatorią. Ta klęska wpędziła do grobu Mikołaja I. Pomimo choroby, przy silnym mrozie jeździł otwartymi saniami na przeglądy batalionów ruszających na wojnę, co z każdym dniem pogarszało jego stan zdrowia. Rano 2 marca 1855 r., po ciężkiej agonii Mikołaj I zmarł. Wśród szerszego ogółu w Rosji, a zwłaszcza w kręgach europejskich, mówiono, iż Mikołaj I, przygnieciony klęskami, a szczególnieadaną przez Turków, szukał śmierci, że jego zachowanie miało wszelkie cechy samobójcze.

Śmierć cara nie oznaczała końca wojny. Aleksander II, lękając się reakcji społeczeństwa, zapewniał, iż poprowadzi Rosję drogą wytyczoną przez zmarłego ojca. Jednak los twierdzy sewastopolskiej był już przesądzony. Sprzymierzeni, dysponując wielką przewagą w artylerii, po kilkudniowym bombardowaniu przypuścili 8 września 1855 r. decydujący szturm. obrońcy opuścili pozycje i w ten sposób jedenastomiesięczna epopeja, dowód zaciętości, determinacji i bohaterstwa po obu stronach, przeszła do legendy.

JERZY ZDRADA

Dzielenie PKB

Zamieszczony w kwietniowym numerze primaaprilisowy dowcip Redakcji Pauzy, obwieszczającej, że „rząd postanowił zwiększyć nakłady na naukę i szkolnictwo wyższe do 3% PKB...”, a także inne, całkiem poważne wypowiedzi poruszające kwestię „udziału w PKB” stanowią dobry powód do poświęcenia nieco uwagi tej często goszczącej w publicystyce ekonomicznej kategorii. Obawiam się bowiem, że w wielu przypadkach zarówno autorzy tekstów, jak i ich czytelnicy rozmaicie rozumieją sens tego wskaźnika. Skoro bowiem mowa o udziale czegoś w produkcji krajowym (z zapewne udział ten jest skutkiem jakiegoś dzielenia. Ktoś (rząd?) owa całość, czyli produkt krajowy, dzieli według ważnych ze społecznego punktu widzenia kryteriów? Otóż nic podobnego – przeciwnie, wielkość ta nie podlega dzieleniu, lecz jest sumą wycenionych pieniężnie wartości wytworzonych przez społeczeństwo w okresie minionym (z reguły w roku kalendarzowym) lub prognozowanych. A więc omawiane „udziały” odzwierciedlają jedynie strukturę PKB, która wynika z wolumenu i wyceny pieniężnej produktów (dóbr materialnych i usług) wytwarzanych w poszczególnych działach i gałęziach gospodarki narodowej, a przeznaczonych do bieżącej konsumpcji lub do zastosowania w inwestycjach. A zatem, od czego, a właściwie od kogo, zależy owa struktura?... Mówiąc najkrócej – od nabywców dóbr i usług, albowiem to potrzeby indywidualne i zbiorowe wyznaczają wielkość i strukturę rzeczową wytwarzanych dóbr materialnych i usług, a także ich wartość z uwzględnieniem kosztów wytwarzania. Ważne jest przy tym rozróżnienie dóbr prywatnych i dóbr społecznych. Pierwsze są nabywane przez osoby fizyczne i podmioty gospodarcze na rynku, a więc po cenach negocjowanych lub wyznaczonych przez sprzedającego w oparciu o relacje popytu i podaży. Każda cena jednostkowa w części odzwierciedla wartość dodaną w każdym etapie produkcji i dystrybucji. Przy danym wolumenie konsumpcji, im większy udział w cenach ma wartość dodana, tym większy jest PKB.

Natomiast dobra społeczne są nabywane niejako „hurtem” przez instytucje publiczne odpowiedzialne za zaspokojenie potrzeb takich, jak bezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne, ochrona zdrowia, edukacja, szkolnictwo wyższe, badania naukowe, infrastruktura komunikacyjna i inne uznane w danym ustroju społeczno-gospodarczym za domenę konsumpcji zbiorowej. Ich dystrybucja w zasadzie odbywa się według lepiej lub gorzej identyfikowanych potrzeb, a nie transakcji rynkowych. Decyzje dotyczące pożądanego wolumenu, jakości i wyceny tego rodzaju usług leżą w kompetencjach organów przedstawicielskich zarządzających budżetem państwa i budżetami jednostek samorządu terytorialnego. Budżet zatem jest tą wielkością, która podlega podziałowi na poszczególne rodzaje usług społecznych z uwzględnieniem wydatków bieżących i nakładów na inwestycje. Kwota wydatków bieżących stanowi swego rodzaju pieniężny wyraz wyceny wartości produktu wytwarzanego przez poszczególne instytucje dostarczające dobra społeczne. Dlaczego zatem analizując strukturę nakładów na poszczególne działy i gałęzie gospodarki, częściej stosujemy wskaźniki udziału w PKB, a nie w budżecie? Problem w tym, że poszczególne dziedziny potrzeb społecz-

nych, oprócz finansowania budżetowego, w mniejszym lub większym stopniu są finansowane ze źródeł pozabudżetowych – prywatnych, a także publicznych, co niestety bywa nadużywane do ukrywania rzeczywistych rozmiarów deficytu budżetowego. A więc w wielu przypadkach wskaźnik udziału danej gałęzi w tworzeniu PKB jest sumą udziału publicznego i prywatnego. Dotyczy to między innymi szkolnictwa wyższego i nauki. I tak na przykład, według danych GUS, w 2020 r. udział działalności badawczo-rozwojowej (B+R) w PKB wynosił 32,4 mld zł, czyli 1,39%, z tego na 27,3 mld zł wyceniono wartość działalności bieżącej, a 5,1 mld wydano na inwestycje. Jaki udział w tych wielkościach mają badania naukowe, a jaki prace rozwojowe, trudno precyzyjnie wyznaczyć. Pewne przybliżenie daje struktura nakładów według sektorów wykonawczych. I tak przedsiębiorstwa wniosły 62,8% ogólnej wartości działalności B+R (z natury rzeczy głównie w formie prac rozwojowych), natomiast szkolnictwo wyższe 35,0%, skupiając się z kolei głównie na podstawowych i stosowanych badaniach naukowych. A więc z perspektywy nauki uczelnianej jej udział w PKB w analizowanym roku wynosił niespełna 0,5% i zapewne niewiele się zmieni w roku bieżącym. Dane te oczywiście nie obejmują całości wydatków na szkolnictwo wyższe, które zazwyczaj publikowane są łącznie dla działalności naukowo-badawczej i dydaktycznej szkół wyższych. I tak, według danych GUS za 2019 r. nakłady na szkolnictwo wyższe w relacji do PKB wyniosły 1,2 %, w tym 0,2% wnoszone przez uczelnie prywatne.

A zatem, wracając do sygnalizowanego na wstępie „dzielenia PKB”, kierowane pod adresem władz postulaty zwiększenia udziału danych usług społecznych w PKB doraźnie można interpretować dwójako: albo jako domaganie się wyższej wyceny tych usług przez podwyższenie nakładów budżetowych finansujących bieżącą działalność odpowiednich instytucji, albo jako postulowanie rozbudowy ich „zdolności wytwórczych” poprzez odpowiednie nakłady inwestycyjne – a najczęściej obu tych rzeczy łącznie. Natomiast w dłuższej perspektywie, w gospodarce rynkowej zmiana struktury gałęziowej PKB wymaga skomplikowanych zabiegów rządu w obszarze szeroko rozumianej polityki gospodarczej, pośrednio wpływającej na decyzje konsumentów i samodzielnymi podmiotów gospodarczych, optymalizujących swoje decyzje nabywcze głównie w oparciu o wskazania mechanizmu rynkowego. Trudność tego rodzaju kształtowania struktury PKB dobrze ilustruje fiasko ogłoszonych na starcie obecnej ekipy rządowej zapowiedzi dotyczących istotnego zwiększenia udziału inwestycji w PKB. Zamiast wzrostu odnotowano spadek.

Myślenie o dekretowaniu struktury PKB – zwłaszcza w starszym pokoleniu – może mieć źródło w filozofii gospodarki planowej, która obejmowała m.in. planowanie podziału dochodu narodowego, kategorii blisko związanej z produktem krajowym, ale nie tożsamej. Łączny roczny efekt gospodarki uspołecznionej w postaci dochodu narodowego stanowił podstawę do dyrektywnego planowania konsumpcji i inwestycji w kolejnych okresach, a także struktury gałęziowej dochodu narodowego. W czwartej dekadzie gospodarki rynkowej w Polsce z takim myśleniem o zarządzaniu PKB czas się rozstać.

ROMAN NIESTRÓJ

Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie (emeritus)
Akademia WSB

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.
Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

OCzekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.